

Słuchając dzisiejszych wykonań miałam wrażenie, że kolejność uczestników występujących w finale jest wprost proporcjonalna do jakości produkcji w myśl hasła – ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi.

Duże nadzieje pokładałam w Christine Bernstad, bo to artystka o fantastycznych możliwościach, właściwie zachwyciłam się nią już w I etapie i typowałam na obecność w finale. A jednak może szkoda, że miałam wobec niej tak duże oczekiwania. Gwoli ścisłości – Bernstad grała pięknie, ze spokojem i skupieniem, szlachetnym, aksamitnym i śpiewnym dźwiękiem przemawiając w każdej frazie. A jakby nie spojrzeć w nuty, była w tym wszystkim konsekwentna logika. Christine świetnie wypada w muzyce drapieżnej, takiej, którą można się bawić – i właściwie każdy jej występ na poszczególnych etapach miał w sobie tę szczerą muzyczną przekaz. Znakomicie potrafi panować nad swoją energią i w żaden sposób nie umniejsza to jej muzycznej osobowości.

Nie mniejsze oczekiwania miałam wobec Sary Dragan, o której dźwięku rozpisywałam się w relacjach z II etapu przesłuchań. A po jej występie mogę przyznać, że wreszcie doczekaliśmy się prawdziwej kreacji Koncertu Szostakowicza. Sara grała jak w transie, a orkiestra akademicka pod batutą dzielnego Alexandra Humali próbowała jej równie dzielnie (choć chwilami z opłakanym skutkiem) towarzyszyć. Jej interpretacja miała coś, czego zabrakło jej japońskim koleżankom – niekończącą się, ale pokrytą polarnym chłodem melodię wywołującą ciarki na plecach. Znakomicie skonstrastowaną część drugą pełną czegoś bezwzględnie, pełną tragizmu część trzecią ze wstrząsającą kadencją, wreszcie majstersztyk i dziką Burleskę na koniec. Jeśli można być zmęczonym siłą ekspresji, i nadmiarem emocji to właśnie ja byłam, ale to tylko świadczy o geniuszu Dragan, która trzyma słuchacza tak bardzo w garści, że trudno się zdystansować do jej muzyki. Ma też pięknie brzmiące skrzypce i widać, że aż przyjemnie jej na nich grać, muzyka sama płynie. To nie jest jedna z wystudiowanych i wykalkulowanych produkcji, których słuchaliśmy wczoraj. Choć trudno odmówić klasy wczorajszym wykonaniom tego koncertu.

I kiedy sobie tak dumałam nad talentem Dragan, na scenę wszedł Serebrennikow, który właściwie ma wszystko to, czym zachwyciłam się w jego poprzednicze – dźwięk, narrację, osobowość sceniczną. A jednak miał jeszcze coś, czym mnie zaskoczył - coś nieokreślonego. W jego grze było coś baśniowego, a zarazem – bez bezpośrednich aluzji – bardzo rosyjskiego. Serebrennikow grał jakby był wprost stworzony do muzyki Prokofiewa. Zawdzięcza to temperamentowi oraz pewnej mistrzowskiej zręczności w posługiwaniu się aluzjami i zrozumieniu istoty muzyki Prokofiewa, czego zabrakło wczoraj u Sypniewskiej. Jest więc i skoczność i majestat, a dzięki temu, że jest Rosjaninem, tę rosyjskość naturalnie czuje. Beztroskie frazy stają się niespodziewanie głębokimi, a każda z części staje się jakby oddzielnym, konkludującym utworem. Ileż tu było światów! Wiele porywów i emocji w tej mądrej, jakby opowiedanej przez starca opowieści. Jak nazwać tę umiejętność zabierania słuchacza w jakieś zupełnie nierealne światy? Nie do końca wiem, ale jest to rodzaj muzycznej magii.